



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: PIOSENKI SIERŻANTA PIEPRZA W FILMOWEJ DYSKOTECE

Na początku drugiej połowy lat sześćdziesiątych słynna „Czwórka z Liverpoolu” - John Lennon, Paul Mc Cartney, George Harrison i Ringo Starr, eksplodowała kolejnym albumem płytowym, zatytułowanym „Sergeant Papper’s Lonely Hearts Club Band” (Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza). „Jest to płyta niezwykle bogata - pisze Marek Garztecki w książce „Rock od Presleya do Santany” - i to nie tylko w swej warstwie muzycznej, lecz także znaczeniowej, nic więc dziwnego, że stała się najczęściej komentowanym i najgruntowniej przeanalizowanym zbiorem nagrań w historii muzyki rozrywkowej.

Baśniowy świat Sierżanta Pieprza rodem z psychodelicznego snu, zaludniony dziwnymi postaciami jakby nieraz żywcem wyjętymi z książeczek Lewisa Carrolla, świat nostalgiczny i wesoły zarazem, sentymentalno-liryczny i przekorny, przepojony pure-nonsensowym humorem, tak charakterystyczny dla prozatorskich i wierszowanych utworów Johna Lennona, płynął na falach niezwykle pomysłowej muzyki, wspierającej się o liczne i nieraz zupełnie zaskakujące efekty elektroniczne. Dodatkowo elementy humoru zawierała w sobie także sama warstwa muzyczna prezentowanych piosenek, będąca przy całej swej porywającej doskonałości - niejednokrotnie pastiszem czy parodią. Tak na przykład melodia piosenki „Within You, Without You” jest między innymi również żartem na temat, jak sobie Europejczycy wyobrażają muzykę hinduską.

W dziesięć lat z górą po wydaniu albumu „Segeant Pepper’s Lonely Hearts Club Band” Amerykanie - w koprodukcji z kinematografią RFN - postanowili świat Sierżanta Pieprza przenieść na ekran. Podjął się tego reżyser Michael Schultz, u nas jeszcze nieznan, od niedawna pracujący w Hollywood. Schultz ma na swoim koncie kilka filmów, między innymi wspomniany już przez naszą prasę „Car Wash” (Myjnię samochodową).

Licząc na sukces postanowiono odwołać się z jednej strony do sentymentu pokolenia, które wstępowało w życie na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a ostatecznie dojrzywało w okresie pojawienia się na rynku płytowym melodii słynnego Sierżanta, z drugiej strony - młodzieży w dzisiejszym wieku dyskotekowym. To właśnie z myślą o niej należało

narzucić piosenkom Beatlesów cokolwiek inną poetykę, a samą muzykę podać w nowej aranżacji. Odwoływano się do sentymentu i do... historii (już!), ale miał przecież powstać przede wszystkim kolejny film z gatunku disco. Jak się udała taka operacja?

Strona muzyczna filmu wypadła doskonale. Zasługa to znakomitej aranżacji George Martina, zresztą przecież ścisłego współpracownika Beatlesów, producenta nagrań zespołu, a także aranżera, reżysera i często także współautora, nazywanego niejednym raz piątym członkiem zespołu. Drugi czołowy atut filmu to zespół „The Bee Gees”, śpiewający fenomenalnie. Pamiętajmy, że to oni śpiewają przeboje najsłynniejszego, jak dotąd, filmu disco „Saturday Night Fever” (Gorączka sobotniego wieczoru) z Johnem Travoltą. Wreszcie - cały szereg doskonałych zespołów i gwiazd muzyki pop.

Natomiast o wiele gorzej sprawa się przedstawia, gdy sięgniemy do strony wizualnej, nawet zakładając z góry odpowiednio dużą poprawkę z uwagi na charakter filmu mającego przecież w gruncie rzeczy dokonać przeglądu szeregu atrakcyjnych piosenek.

Wszystkie dotychczasowe filmy o Beatlesach i ich muzyce - z wyjątkiem może tylko średniometrażowego, telewizyjnego, u nas zupełnie nieznanego „Magical Mystery Tour” - były dziełami w pełni udanymi. Pierwszy z nich, nakręcony w 1964 r. przez Richarda Lestera, „A Hard Day’s Night” (Wieczór ciężkiego dnia), który u nas wyświetlano pod o wiele bardziej przyciągającym tytułem: „The Beatles”, był „zwariowanym” niby-reportażem o występach zespołu i o niewesołych stronach ich ogromnej popularności. Beatlesi, na czele z Ringo Starrem, który już wówczas ujawnił zdolności aktorskie, uciekali bezustannie przed goniącymi ich tłumami rozhisteryzowanych nastolatków. Przypominało to w założeniu trochę wczesne komedie amerykańskie oparte na elemencie ciągłej pogoni. Luster wprowadził szeregi trafnych obserwacji psychologicznych i socjologicznych, potrafił też w pełni oddać ów purnonsensowy rodzaj humoru Beatlesów, płynący zresztą głównie z osobowości Johna Lennona.

Powstały w rok później „Help!” (Na pomoc), także reżyserowany przez Lestera, kontynuował ową nić purnonsensowego humoru, humoru wyrosłego na czysto angielskim podłożu. Chyba najdoskonalszym filmem okazała się nakręcona w 1968 roku „Yellow Submarine” (Żółta łódź podwodna), pełnometrażowy film animowany, z doskonale utrafioną stroną plastyczną w stylu pop, przekładający na język plastyki istotę ówczesnych dokonań i charakteru muzyki Beatlesów. Animacja okazała się jakby specjalnie stworzona dla bajkowych marzeń chłopców z Liverpoolu, wędrujących przez świat, wśród ścierającego się wciąż dobra i zła.

„Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza” stała się niestety, w swej warstwie dramaturgicznej, filmem chybionym. Tu już nie chodzi nawet o prymitywną fabułę

opowiadającą o niezwykłych perypetiach, jakie przydarzyły się w dwadzieścia lat po śmierci zacnego Sierżanta jego wnukowi, leaderowi muzycznego zespołu oraz jego ukochanej, Truskaweczce. Nie chodzi o banalne rozwiązanie inscenizacji i grę aktorów drugiego planu na żenująco niskim poziomie. Nie chodzi o nie zawsze najbardziej udaną, choć momentami zaskakująco doskonałą scenografię. Rzecz w tym, że mimo widocznego założenia, nie zdołano tutaj oddać ani filozofii, ani sposobu widzenia świata twórców piosenek, które grał i śpiewał kiedyś przed dwunastu laty, na gruncie „starej, wesołej Anglii” wstrząsanej kolejnymi ciosami płynącej zza oceanu pop-kultury, zespół Sierżanta Pieprza. Wyszło tak: słowa sobie, muzyka sobie, a angielskiego humoru - w amerykańskim wydaniu nie stało. Siedzimy nie w kinie tylko w dyskotecie. I najlepiej, jeżeli będziemy siedzieli z zamkniętymi oczyma, otwierając je tylko od czasu do czasu.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 12, s. 14.